ROZMAITOŚCI.

Dnia 15 maja, N^{ver}» 20. roku 1847.

LILIJOWA RĘKA.

Nina leżała w łóżku. Właśnie wybiła godzina dwunasta. Nina usunęła na bok książkę, która ją łagodnie w sen ukołysać miała. Bijące z alabastrowéj lampy światło rozsiéwało spokojne, urocze w koło promienie. Już ostatnie węgle na kominku przetlały, a w pokoiku panieńskim było ciepło i cicho. Ani przelotny wietrzyk nie musnał jedwabnych kotar u łóżka.

Krewni, u których Nina bawiła, wiedzieli dobrze, jaki skarb w swoim domu przechowywali. Toteż z prawdziwie macierzyńską troskliwością starano się o jéj wygody. Sama ciotka Niny, żona doktora Mascagni, odprowadziła ją do sypialni, i sama ją rozebrała, nie chcąc nikomu innemu posług pokojówki poruczyć. Przy pożegnaniu spojrzała na nią czule, rzekła jéj dobra-noc, i wycisnąwszy jéj macierzyński pocałunek na czoło; wyszła z modlitwą na ustach, błagając dla niéj o błogosławieństwo nieba.

Doktor i profesor Mascagni, był niemało dumnym ze swego pięknego gościa. Długiegoż potrzeba było czasu, zanim go sobie u matki w Rimini wyprosił, i na pół przemocą z jéj objęć wyrwał, i w tryjumfie do swego staroświeckiego, wiejskiego domu sprowadził, małéj w prawdzie, ale ozdobnéj, wili, i w pięknej okolicy Bolonii.

Zacny doktor nie przywiózł do siebie swojéj młodéj kuzynki bez pewnych zamiarów; a Nina miała jakoweś miłe przeczucia, i chętnie ze swoim wujem pojechała. Wiedziała ona, iż doktór przy swojéj głośnéj sławie jako anatom i operator, umié i lubi także kojarzyć szczęśliwe małżeństwa. Jakoż jedno i drugie, nie mało majątku i dostatków mu przyniosło; a teraz spoczywał w cieniu swoich uzbieranych wawrzynów. Był on chirurgiem tylko dla wielkich panów, i jedynie z przyjemności prowadził niejaką jeszcze praktykę. Jego żona, z szlachetnego domu Lanzi pochodząca, pomnożyła dwójnasób jego wziętość i bogactwa; z jéjto głównie powodu zamieszkała piękna jéj siostrzenica w kwiecistéj i cienistéj wili profesora Mascagni. Umyślono przedewszystkiém zawiązać stosunek miłosny między świéżo przybyłą pięknością z Rimini, a pewnym młodzieńcem rzymskim, Kamilem da Rizzo, wiele rokującym uczniem medycyny, który już oddawna znał i ubóstwiał Ninę, chociaż mało przez nią zważany.

Byłożto winą nieprzyzwyczajenia się jeszcze do łóżka, na którém spała; czy ciasnoty pokoju, czy też zbytniego blasku lampy, lub może zanadto ogrzanego powietrza w sypialni, że Nina do tak późna jeszcze nie zasnęła? Albo może niepokoiła ją nadzieja blizkiego obaczenia się z wielbicielem, dla którego w domu swéj matki, przez długi czas obojętność okazywała. Albo może marzyła o balu, który łaskawi krewni na cześć jéj przybycia, jutrzejszego wieczora wyprawić zamierzyli? A może wreszcie była powodem książka, którą właśnie na stronę usunęła, że zbyt żywe obrazy w niéj obudzała, i usnąć jéj niedawała?

Jakże miło było patrzeć na nią! Roz-

kwitłe jéj lica, oblane błogą poświatą lampy, pałały życiem wiosennych kwiatów. Ciemne jéj oczy, spoglądające na ostatni żar przetlałego ogniska, świéciły same tajemnym ogniem. Jéj krągła, aż po ramię obnażona ręka, otoczyła niedbale, słodko spoczywającą jéj głowę, odsłaniając swą snieżną białość jako najpiękniejszą część ciała téj istoty, która cała, uosobioną pięknością była.

Jeźli Hiszpani u swoich kochanek najbardziéj małą nóżkę podziwiają, tedy Włochy czynią przeciwnie, i cenią najwięcéj kształt i białość ręki. Jeden z dawniejszych poetów włoskich napisał nawet obszerny poemat »*Bella mano*, o pięknéj ręce.« Ręka Niny, która może w całych północnych Włoszech, równéj sobie nie miała; znaną była pod nazwą »ręka lilijowa« »lilija z Rimini.«

Nareszcie pochyliła Nina skroń w poduszkę. Cienie długich rzęs spadły na znużone oczy, lica owionął lekki powiew snu; oddech coraz bardziéj wolniał i stawał się cięższym.

Marzyła, nim jeszcze zasnęła. Wszelkie widziadła senne, nie spłoszyły téj niewysłowionéj spokojności, która się z uroczym wdziękiem na jéj twarzy objawiała. Tchnienie anielskiéj czystoty, skromnéj i trwożnéj tkliwości, dziewiczéj prawdy, z wonnych jéj ust płynęło.

Ale oto za jednym razem widzimy, że nasza spiąca piękność wzdrygnęła się na całém ciele. Jakieś wilgotno-zimne uczucie, ścięło lodem krew w jéj żyłach. Jakaś mroźna, skościała dłoń, ścisnęła ją za rękę. Chwilę trwało — a dwie zimne, zakrzepłe śmiercią wargi, spoczęły chciwym całunkiem na jéj ręce. Kilka chwil minęło, zanim instynkt trwogi wziął górę nad zdumieniem. Ale Nina de Lanzi miała więcéj odwagi, niż ją zwykle kobiéty mają. Ani wskrzyknęła. Rozum jéj oparł się mocno wrażeniu zmysłów. Gwałtownem natężeniem podniosła się w łóżku i siadła.

Uspokoiła prędki oddech bijącéj piersi, i śmiało spojrzała wokoło siebie.

Drzwi od sypialni, co wyraźnie widziéć mogła, zachwiały się cicho w zawiasach, jakby się spieszno za kimś, były przymknęły.

Widziała to dokładnie. Była zupełnie ocuconą i przytomną. Zimny pot pociekł jéj z czoła.

Palce jéj były jeszcze białe jak po gwałtownem uściśnięciu, a sina plama, oznaczała miejsce, gdzie niewidome, lodowate wargi spoczęły.

Dopiéro teraz nastąpiło oddziaływanie stłumionéj trwogi. Wlepiwszy oczy we drzwi, siedziała jak zaklęta na łóżku, usiłując nabrać odwagi do odporu powtórnéj napaści, gdyby takowa istotnie nastąpić miała. Ale godzina po godzinie mijała, noc leniwie przeszła, ranek w oknie zajaśniał, a drzwi się nie ruszyły.

Z dniem białym wróciła też Ninie i odwaga. Miałażby jéj wyobraźnia wziąć tak wielką przewagę nad jéj rozsądkiem? Mogłyż nocne strachy tak przeważnie działać na zmysły? Mogłoż wreszcie przywidzenie jeszcze i wtedy swoję moc zachować, gdy już przytomność znowu powróciła? I nie byłaż jéj ręka nigdy jeszcze tak białą przez przyciśnięcie niedogodnego położenia we śnie?

Témi i podobnémi uwagami chciała Nina zbić przywidzenie swoje. Wszelako przekonanie to, nie było jeszcze tak upewnione, aby mogła była bez wszelkiéj trwogi przejść przez próg tychże samych drzwi, które ją o północy takiego przestrachu nabawiły.

Następny dzień był pełen radości i rozrywek. Rano wyszła Nina z dziećmi doktora na przechadzkę po okolicy; potém nastąpił wesoły obiad w kole rodzinném; wreszcie zbliżył się czas przygotowań do balu i strojenia się na wieczór. Pozapalano lampy, licznie sproszeni goście zaczęli się zgromadzać w sali, zabrzmiała huczna muzyka, a Nina stanęła do tańcu.

Od samego rana niémiała Nina czasu rozmyślać o nocnym strachu. Teraz nie było także pory po temu, już bowiem całe towarzystwo się zebrało zacząwszy od doboru wielkiego świata Bolonii, aż do dziarskich uczniów uniwersytetu. Pani profesorowa wystąpiła tego wieczora

z całym przepychem swoich bogactw i całą znajomością pańskiego życia.

Nina de Lanzi i Kamil da Rizzo, wiedli Rej w kadrylu: on przystojny, hoży, jaśniejący szczęściem i uczuciem zadowolonéj miłości własnéj, ona — nieco mała, ale jakby umyślnie do tańcu stworzona, wzorująca wdziękami i uprzejmością, a przytém jeszcze cokolwiek wspomnieniem odwidzin przeszłéj nocy wzruszona.

Wkrótce jednak zupełnie się uspokoiła. Podniosła głowę, a zasłyszawszy pierwszych dźwięków skocznéj muzyki, hardo ją w tył przechyliła. Bujne jéj włosy spływały w rzęsistych splotach po krągło wytoczonych ramionach, podczas gdy jéj ręka — sławna lilija Rimińska — którą rzadko kiedy w ciasną białą rękawiczkę wciskano, nadstawiona była nadobnie, wybranemu młodzieńcowi.

Tymczasem wierny jéj tanecznik opuścił na chwilę swe stanowisko. Jakaś mała trudność w ustawieniu następnych par, sprawiła była krótkie w zabawie zamieszanie Na skinienie gospodyni domu, zbliżył się do niéj Kamil da Rizzo, aby jéj spiesznie rady udzielić. Nina nie uważała jego oddalenia się, i z odwróconą głową, nadstawiła mu nieobecnemu swoję lilijowę rękę.

Nagle w przepełnionéj gośćmi sali, śród wesołych dźwięków muzyki, rozległ się przeraźliwy wykrzyk trwogi i przerażenia!

Nastąpiła chwilowa przerwa — wszystkich oczy zwróciły się na Ninę.

Nina stała na swojém miejscu, z wpatrzonémi w rękę oczyma. Końce jéj palców pobielały, paznokcie były sine, jak od ostrego mrozu. Owa martwa, zimna, ręka, znowu ją uścisnęła.

»Ktożto był?« zawołała Nina. — »Kto sobie tego niewczesnego żartu dozwolił?«

Całe towarzystwo obstąpiło ją z spółczuciem i trwogą.

Zwrócona na nią uwaga tylu osób, była jéj nieprzyjemną Tupnęła niechętnie nogą. Wyprowadzono ją do chłodniejszego pokoju. W kilka minut przyszła zupełnie do siebie. Oświadczyła życzenie, aby jéj wolno było oddalić się z koła towarzystwa. Wszelkie prośby i przedstawienia, nic nie pomogły, tylko ją bardziéj jeszcze drażniły. Przyrządzono więc szybko tęż samę niebezpieczną sypialnię od któréj, jedynie przez dumę, żadnego wstrętu nie okazała. Pół w żarcie, w pół w prawdę, uprosiła sobie na noc towarzyszkę w osobie Juliety, najstarszej córeczki profesora, dwunastoletniej dziewczynki. Zapalono lampę, rozłożono ogień na kominku.

Ciotka w tkliwéj obawie, została się długo z obiema dziewczętami w sypialni, aż wreszcie Nina po raz trzeci ozwała się do niéj z prośbą, aby do gości wróciła. Mała Julieta układła się już była w łóżko. Nina odprowadziła ciotkę, i zaczekawszy, aż ta kurytarzem odeszła, zamknęła i zasunęła drzwi najstaranniéj.

Prawie wstydem spłoniona, rzuciła przelotnie okiem pod łóżko, i zaglądnęła u okna za firankę Poczém zaciérając sobie ręce, i oddéchając swobodnie, wróciła do łóżka, a za dwie minut leżała już przy boku spiącéj Juliety.

Pozostałe w sali towarzystwo, nie bardzo wesoło się bawiło. Uznano za rzecz niestosowną tańcować dłużéj, i tylko pół szeptem rozmowę toczono.

Uderzyła godzina dwunasta Ogień na kominku płonął jeszcze. Lampa rozléwała bladawe światło. Obiedwie dziewczęta leżały w spólném objęciu — Dziewczęta mają osobliwszy dar grupowania się. Szyje, ręce, wszystkie członki tych młodocianych istot, były tak malowniczo z sobą splecione, jakby się tam umyślnie na model grupy Gracyjów układły.

Ciepłość ich krwi rozeszła się po całym pokoiku, równie jak i woń ich oddéchu. Lica ich pałały blizkiém, wzajemném zetknięciem się.

Obie były spokojne, ale podczas gdy młodsza głęboko snem niewinności usnęła, druga spoglądała trwożliwym wzrokiem wokoło, jakby w oczekiwaniu tychsamych zjawisk, które już dwukrotnie ją przeraziły.

Nina usiłowała nie bać się, i całą winę na zbyt żywą wyobraźnię składała.

»Jako« — rzekła do siebie — »miałyżby

nawet duchy z grobu wstawać, aby »lilii Rymińskiéj« hołdy składać?« —

Tylko sumienie czyni nas lękliwymi; a cóż sumienie Ninie zarzucić mogło? nic wcale, a więc wszystko było złudzeniem wyobraźni.

A przecież owa scena na balu! Mogłaż i ta na karb rozgorzałéj wyobraźni być policzoną? Ta nagła zmiana koloru palców — byłże kto śród obecnych, co tego rzeczywiście dostrzegł? Mogąż widma i w liczném towarzystwie nas straszyć?

Témi dowodami pocieszała i uspokajała Nina swój umysł wzruszony. »Zresztą« — rzekła do siebie z niejaką otuchą — »wszak tu jest Julijeta przy mnie«

Obecność jakiejśkolwiek żyjącéj istoty, czy to dziecięcia, czy małego nawet pieska, jest już dostateczną rzeczą do odpędzenia nadprzyrodzonéj obawy. Mała bezbronna dziewczynka, śpiąca przy boku Niny, uspokoiła ją. Wzięła tedy swoję nocną towarzyszkę w objęcie; a niepokojące ją lękanie się, ustało.

Coraz żywszy rumieniec na jéj licu, spuszczająca się niby mglista zasłona na jéj powieki, coraz leksze i leksze rozchwiewanie się myśli; zapowiadały blizkie uśnięcie.

Uwolniła się więc ze ścisłego objęcia swéj małéj przyjaciółki, skryła głowę w poduszki, i wyciągnęła się wygodnie wzdłuż łóżka.

Jéj poruszenia, chociaż lekkie i ostrożne, nie mogły nie sprawić podobnych ze strony śpiącéj dziewczynki. Ręce jéj, aż potąd z całą czułością siostrzanéj miłości, w około prawéj ręki Niny spoczywające, rozwinęły się teraz; a oswobodzona tém ręka pięknéj kuzynki, wysunęła się z łóżka, i zawisła prawie w powietrzu.

W téj chwili jakaś obca pochwyciła ją ręka. Nina znowuż uczuła w końcach palców, mróz grobowy który ją aż do sérca przeszył. I znowu lodowaty przycisk warg męzkich, zostawił sine znamię na »lilijowéj ręce« z Rimini.

Wszakże tymrazem była Nina już ostrożniejszą. Zerwała się coprędzéj z łóżka, i nagłym ruchem zwróciła się ku drzwiom, które znowu zaledwie dostrzeżoném zachwianiem zdawały się zamykać za uchodzącą marą.

Powiedzieliśmy, że Nina de Lanzi miała nierównie więcéj niż zwyczajne kobiéty przytomności i odwagi. Ztémwszystkiém zapewne czytelnicy nasi z trudnością uwierzą, co im tu daléj opowiedzieć zamierzamy.

Dzięki rzadkiéj mocy i wytrwałości umysłu, które nawet u bohatéra zadziwienie wzbudzićby mogły; była Nina w stanie uchwycić drżącą ręką lampę, i silnym krokiem zbliżyć się ku drzwiom.

Trudno opisać, z jakiém uczuciem je otworzyła. Przecież nadzwyczajną, chociaż prawie niepowiadomą mocą woli, pocisnęła klamkę; drzwi się odchyliły, a Nina wyszła.

Było ciemno i cicho w około. Gwar gości w sali, zalatywał głucho z daleka.

Wszystkie komnaty w wili profesora, nie były na piętrze. Sypialnia Niny otwiérała się na obszerną sień czworokątną; drzwi po prawéj stronie, prowadziły do bawialnych pokojów, z których właśnie gwar balowy przybrzmiewał; po przeciwnéj stronie, ciągnęła się długa galeryja, w głębi któréj widać było jakieś drzwi czarne.

Nina wyszła do sieni. Dopiéro od kilku dni w téj wili bawiąc, nie znała jeszcze dokładnie wszystkich jéj zakątów, i dając się tedy samemu instynktowi powodować, minęła sień, i puściła się nieznanym kurytarzem.

Otaczające ją przedmioty śród cieniów nocy, rozpływały się w niepewnych kształtach przed jéj oczyma. Drzwi w głębi korytarza, zdawały się ruszać w zawiasach, a gdy Nina odważnie do nich się przybliżyła, pokazało się, że były wpół odchylone.

Nastąpiła krótka chwila obawy. Nieustraszone potąd serce, zachwiało się. Lampa zadrżała w ręku.

Wszelako raz jeszcze zebrała Nina wszystkie siły, potrąciła drzwi nogą, i stanęła na progu.

Podłoga w komnacie była posypana piaskiem. Ściany były zupełnie nagie,

i tylko podłużny stół, przykryty białém prześcieradłem, stał na środku.

Dziewica przystąpiła do stołu, a piasek zaskrzypiał pod jéj krokami Bądź ciekawością, bądź jakiemś niepojętém uczuciem pobudzona, podniosła prześcieradło, i ujrzała — jak ku niéj wyszczerzyły się skrzywione rysy trupa! — Nina zaszła do anatomicznego pokoju profesora.

Na stole leżały zwłoki mężczyzny, zmarłego w kwiecie wieku. Dostał on się tu po śmierci, bez wszelkiéj bliższéj wiadomości nazwiska i stanu, tylko numerem 385 w szpitalu oznaczony. Profesor zajęty przygotowaniami do balu, nie miał nawet tyle, czasu, aby opatrzył swego trupa. Nieboszczyk przywieziony był do szpitala jako cudzoziemiec, i tamże w krótce umarł.

Młoda i szczęśliwa Nina, nie znała jeszcze uroczystego widoku śmierci. Z niewysłowionym więc przerażeniem patrzyła teraz na to martwe oblicze. W jéj rozgorzałéj wyobraźni zdawało się jéj, że trup jeszcze żyje, że oddéchał, ale zimném, grobowém tchnieniem, które aż do niéj zawiewało; że usta jego rozdrażnione przed chwilą skradzionym całunkiem, ruszały się jeszcze.

Przeraźliwy wykrzyk i ciężkie upadnięcie na ziemię omdlałego ciała, sprawiły rozruch w domu, przywołały gości z sali balowéj, i przywiodły ich spieszno do komnaty, gdzie Nina bez zmysłów leżała. Na szczęście, przyszła Nina po kilku minutach do przytomności; — lecz potrzeba było lat całych, za nim pozbyła się wrażenia téj okropnéj sceny.

Dwa następne lata, spędziła Nina przy matce, w Rimini, odzyskując powoli siły; nareszcie nadszedł dzień uroczysty, w ktorym u stóp ołtarza, wyszepnęła ślubną przysięgę, która ją na wieki z uszczęśliwionym Kamilem da Rizzo złączyła.

Nawet w téj świętéj chwili, zdało się jéj, jakby po jéj ciepłéj ręce, prześliznęły się zimne palce; nagła bladość pokryła jéj różowe lica, i z trwogą spojrzała w około siebie. Ale dwa lata w grobie, ostudziły zapewne osobliwszą miłość numeru 385, a »ręka lilijowa« nie była już nigdy od jego pocałunków nagabywaną.

Jednakże, nawet po wielu latach małżeńskiego pożycia, niepokazywała się już nigdy ta piękna ręka, bez rękawiczki w sali balowéj; a niepotrzebujemy domawiać: jak starannie ona w nocy, pod kołdrę się kryła!

Epizod z życia artysty.

Za Alpami kraj cudów! Kraj przygód! W cuda wprawdzie nie wierzymy, lecz przygody są nam pożądane, i chętnie ich słuchamy. Jedna z takich przygód, zdarzyła się w roku 1840, w Bolonii.

Ubogi potomek starych Normanów, Norwejczyk Ole Bull, którego w owczas nikt jeszcze nie znał; zabłąkał się był trybem swoich wojenno-wędrownych przodków, w dalekich krajach południa. W ojczyźnie jego było istotnie kilka osób, które przypuszczały, że z młodego Ola kiedyś jeszcze, jak to mówią: ludzie będą; lecz niestety, było tych osób bardzo mało, a większa część z najmocniejszém przekonaniem twierdziła: że z niego nic nie będzie. On sam czuł mocno, że musi koniecznie pójść w świat! — aby tlejącą w sobie iskrę jenijuszu, albo w płomień rozniecić, albo ze szczętem zagasić.

Puścił się tedy w świat, i przybył do Bolonii. Ale tymczasem szczupła jego kasa, wypróżniła się ze szczętem, a nie było nigdzie sposobności do zarobienia sobie kilka groszy; nie było przyjaciela, któryby pomocną dłoń mu podał; przezco biedny chudzina siedział smutno i samotnie w lichéj, tylnéj izdebce, w domku przy najbrudniejszéj ulicy bolońskiéj. Już to drugi dzień tak mijał, odkąd tu przybył, a przez cały ten czas, jedyną jego pociechą był dzbanek z wodą, i skrzypce. Nie dziw też, iż wreszcie zaczął wątpić, że go Bóg obdarzył jenijnszem, i z rozpaczy wywabiał z skrzypców tony boleści, które serce rozdzierały!

Tegoż samego wieczora miał być danym wielki koncert w teatrze. Wszystkie miejsca były zajęte; tłumy publiczności wracały bez biletów do domu; w. książę Toskański siedział już w swojéj loży. Pani Malibran w śpiewie, a pan de Beriot, na skrzypcach mieli się popisywać. Nadeszła wreszcie chwila podniesienia zasłony; ale dyrekcyja teatru, była w niesłychanym kłopocie: Pan Beriot, z jakiegoś powodu, nie chciał grać w żaden sposób. Wszystko potraciło głowę na scenie —, gdy wtém nadchodzi niespodzianie pani Rossini, żona sławnego *maestro*, i opowiada: że jadąc wczoraj w wieczór odiegłą ulicą na przedmieściu, słyszała dziwne tony nieznanego sobie instrumentu, które miały niejakie podobieństwo do dźwięków skrzypcowych, jednak podług jéj zdania, nie były niemi w rzeczy saméj. Na jéj zapytanie, kto w tym ubogim pokoiku mieszka, odpowiedział właściciel domu, iż jest to jakiś młody, wędrowny człowiek, który z północnych krajów tu przybył. W końcu zapewniła pani Rossini dyrektora teatru, że ten wędrowny cudzoziemiec albo na wcale nowym, nieznanym gra instrumencie, albo niesłyszane nigdy tony ze skrzypców wydobyć umie. Spieszno uradzili wszyscy, przywołać nieznajomego, który może przynajmniéj osobliwością swojego instrumentu, lub gry swojéj, Beriota zastąpić zdoła.

Dyrektorj usłnchał rady, i wyprawił cospiesznie gońca po młodego Norwejczyka. Dla niego ten goniec zdał się być istnym zesłańcem nieba. „Teraz, lub nigdy!” pomyślał sobie Ole Bull; a chociaż był znużony, wziął coprędzéj skrzypce pod pachę, i

ruszył do teatru. W kilka minut po jego przybyciu, oznajmił dyrektor zgromadzonéj publiczności, iż pewien młody Norwejczyk, a zatém »na wpół dziki,» będzie miał zaszczyt zamiast pana Beriota dać dowody swojéj biegłości na skrzypcach.

Ole Bull wystąpił; cała scena była jasno oświetlona; młody artysta postrzegł spojrzenia najbliższych dam, ciekawie na siebie zwrócone. Jedna z nich przypatrywała mu się pilnie przez lornetę, i coś potém o jego niezgrabności, do sąsiadki swéj poszepnęła. Ole Bull spojrzał po swoich sukniach, które w saméj istocie przy blasku świateł, bardzo lichémi się mu wydały. Owa dama uczyniła i nad tém swoję uwagę, a wzgardliwy jéj uśmiéch przeszył mu serce boleśnie. W pośpiechu zapomniał wziąć z sobą nuty, któreby mógł był dać orkiestrze; a tak ujrzał się zmuszonym grać bez towarzyszenia; ale co?

»Ha, będę grał fantazyje, które w téj chwili umysł mój zajęły» — pomyślał sobie, i grał: wspomnienia ze swego życia, melodyje z gór rodzinnych, walki ze światem i z samym sobą; zdało się, jakby każda jego myśl, każde uczucie piersi jego, za pośrednictwem skrzypców, w słowa się zamieniając, zrozumiałémi się stawały Gromiące oklaski rozległy się po sali. Przywoływano go wielokrotnie po każdym przestanku, żądano coraz nowych melodyj, coraz nowych improwizacyj. Uniesiony artysta zwrócił się do owéj damy, któréj szydercze słowa tak głęboko go ubodły, i prosił ją o temat do waryjacyi Wymieniła mu temat z „Normy.” Potém obrócił się z tąż samą prośbą do drugiéj, i do trzeciéj. Wezwane damy, zadały mu dwa temata z „Mojżesza” i z »Otela» Teraz pomyślał sobie artysta: „Jeżli te wszystkie temata, razem połączę, tedy pochlebię przeto damom, a może też ta całość, niejakie wrażenie na publiczności wywrze.” I uczynił tak, jak pomyślał. — Potężnie, jakby rószczka czarodziejska, dzwonił smyczek po skrzypcach, podczas gdy natchnionemu skrzypkowi, zimne krople potu z czoła się lały. Febrycznie zawrzała mu krew w żyłach, i zdało mu się w gorączce, że duch jego, więzy ciała rozerwie i swobodnie w niebo uleci. Ogień mu błyskał z oczu — był już blizkim omdlenia —, jeszcze kilka przeciągnień smyczkiem, a byłyby siły ciała, zupełnie go opuściły.

W téjże chwili grad kwiatów i wieńców padł od zgromadzonych widzów na artystę, wysilonego ze szczętem cierpieniami moralnémi i unużeniem fizycznem. Śród odgłosu muzyki i radosnych okrzyków, odprowadzono go do domu. Na pożegnanie zabrzmiała pod oknyma lichego domku, szumna serenada na cześć dzisiejszego bohatéra, który tymczasem wyszedł zwolna po ciemnych i ciasnych schodkach, do swojéj tylnéj izdebki, aby się tam — na pokrzepienie wody, napił.

Gdy już wszystko ucichło, przyszedł do niego gospodarz domu bardzo usłużnie; przyniósł mu jeść i pić, i dał mu lepszy pokój. Nazajutrz przyniesiono mu wiadomość: że teatr dla niego otworem stoi, i że będzie dany koncert na korzyść jego. Wkrótce potém nadeszły zaprosiny od w. książęcia Toskańskiego; a tak położony był węgielny kamień do dzisiejszéj europejskiéj sławy błędnego syna północy!

Dwaj entuzyjaści.

Przed niedawnym czasem miała się we Florencyi odbywać licytacyja bogatego zbioru obrazów hrabi Feszoli. Znajdował się tam między innymi sławny w artystycznym świecie obraz Albana. Zjechało się wielu miłośników sztuk pięknych z różnych krajów, aby się o nabycie tego kosztownego malowidła ubiegać. Jednak wszystkich współzawodników zaćmił sir Adam N..., możny Anglik, który większą częśc swoich dochodów na skupowanie rzadkich obrazów poświęcał. Nie było dlań niebezpiecznego rywala, chyba jeden sir Oliver P..., jego ziomek, bawiący w Neapolu. Obaj kochali się szalenie w arcydziełach dawniejszych mistrzów, i byli obaj milijonowymi panami. Nareszcie zbliża się dzień licytacyi, lecz sir Oliver na szczęście nie przybył jeszcze; zapewne niémiał wiadomości o licytacyi. Sir Adam, wielce tém ucieszony, ma się już za posiadacza obrazu; gdy wtém donosi mu pewien jego przyjaciel, że sir Oliver chce wyjechać z Neapolu, i bez wątpienia jeszcze przed licytacyją w Florencyi stanie. Sir Adam był w rozpaczy. Jakże tu zapobiedz, aby niebezpieczny spółzawodnik, nie kupił pożądanego obrazu. Rozmyślając jeszcze jakby niepodobieństwo podobieństwem uczynić, usłyszał nasz entuzyjasta, iż kilku podróżnych było napadniętych od bandytów, ...ący się jeszcze gdzieniegdzie w Apeninach i w niektórych operach znajdywali. Ta pogłoska nastręczyła mu pomysł, którego uskutecznienia daremnie szukał; udaje się więc natychmiast w góry, kędy owe bezprawia popełniono, a zbójcy uprzedzając jego życzenia, w istocie go napadają »Oto moja kieska»— rzecze sir Adam uradowany— „jest w niéj dwanaście ginejów, a tu mój zegarek, który wart dwa razy tyle; ale dam wam dziesięć razy więcéj, jeżli mi ważną przysługę wyświadczycie.” — Herszt opryszków nadstawił ucha z ową uwagą, z jaką każdy spekulant zyskownéj propozycyi słucha, a namiętny miłośnik sztuk pięknych oświadcza mu, iż chodzi o to, aby schwytać pewnego podróżnika, który nazajutrz tędy przejeżdżać będzie, i zatrzymać go przez dni kilka. Zarazem otrzymują zbójcy tak dokładny opis sir Olivera, iż niepodobieństwem było omylić się w osobie; a tak zawarto układ najnależyciéj Poczém wrócił sir Adam pełen radości do Florencyi, sir Oliver zaś spieszył tymczasem do

tegoż samego celu swojej podróży. A miał on także najpewniejszą otuchę odniesienia zwycięztwa nad swoim przeciwnikiem, gdyż równie użył fortelu, aby na jakiś czas go się pozbyć. Tym fortelem była tajemna nota, wysłana do Florencyi, a wymieniająca sir Adama jako uczestnika sprzysiężenia, którego jak najspieszniej uwięzić wypada. Podczas gdy więc sir Oliver w Apeninach od zbójców był przytrzymanym, musiał sir Adam poddać się pod indagacyję, w któréj istotnie niewinność swą udowodnił; atoli gdy obaj rywale wolność odzyskali, było już po licytacyi. Obraz Albana, za który możni synowie Albionu byliby zapewne krocie sypali; dostał się za dwa tysiące szkudów w ręce pewnego tandeciarza.

Wiadomości literackie.

Z Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 19ty i zawiéra: 1) Leona hrabi Rzewuskiego projekt do układania warunków dzierżawy tak, by dzierżawca mógł się zajmować poprawą gospodarstwa dla własnych swoich widoków. 2) Już po zarazie kartofli. 3) O uprawie Marzanny. 4) Malowane zegary po wieżach. 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe. Ważne wiadomości dla fabryk śkła. 6) Dziennikarstwo w Serbii. 7) Nowe śrébro angielskie. 8) Ustawiczne wystawy wyrobów przemysłu. 9) Statystyka przędzalń bawełnianych.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 10ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Z obrazów Frejligrath'a. Gdybym się zrodził był na Sinaju. 3) Kronika muzyczna. 4) Kronika literacka. 5) Teatr. 6) Rozmaitość.

Z Warszawy: *Bibljoteka warszawska* za miesiąc maj zawiéra: 1) Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącém się do współki likwidacyjnéj, przez Augustyna Heylmana. 2) Mahmudek, powieść przez Władysława Strzelnickiego, dokończenie. 3) Wspomnienie o Jerzym Bogumile Puszu i pracach jego naukowych, przez A. M. Pą... 4) Charakterystyka tańców, przez Karola Czerniawskiego. 5) O życiu i pismach Dominika Lisieckiego, przez F. S. D. 6) Wspomnienie o dwóch odrębnych malarzach Kopeckich, jednym rodem Węgrze, innym Polaku, przez Edwarda barona Rastawieckiego. 7) Kronika literacka. 8) Rozmaitości. 9) Kronika zagraniczna. 10) Kronika biblijograficzna. Doniesienie literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne za marzec r. b.

Piękny rys charakteru Piusa IX. Przy końcu zeszłego miesiąca schwytali karabiniery między włóczącymi się po ulicach Rzymu próżniakami, pochylonego wiekiem staruszka, w celu odesłania go na miejsce urodzenia. Lecz starzec przyprowadzony na policyję, począł gwałtownie powstawać przeciw temu wyrokowi, i złożył następujące zeznanie: »Nazywam się Dominik di Ubaldo Guidi; urodziłem się w Mondolfo i dopiéro przed kilką dniami przybyłem tu z Fano w zamiarze mówienia z Papieżem. Za czasów mojéj młodości, byłem w służbie u pewnéj szlacheckiéj rodziny, która zwykle co lata niedaleko od stolicy, wioskę wynajmowała. Pewnego razu wydaliłem się w interasach służby ku głębokiéj i od brzegów bagnistéj sadzawce, dokąd za mną synek mojego pana, imieniem Giovanni, wesoło poskoczył. Z wielką radością przypatrywał się chłopak rybkom pływającym u spodu, i chcąc je ułowić, począł ręką pluskać po wodzie, a pośliznąwszy się, wpadł do głębi, podczas gdy ja byłem daleko. Niespostrzegając go nigdzie, biegnę pełen trwogi na miejsce, w którém pozostał. — Chłopiec był już blizki utonięcia. Wyciągnąłem go na brzeg i ocaliłem mu życie. Ten sam Giovanni jest teraz przez cudowne zrządzenie opatrzności papieżem Piusem IX. Nie w innym tedy celu przybyłem z tak daleka piechotą do Rzymu, jak tylko aby go widzieć i mówić z nim w nadziei, że przynajmniej przy schyłku mego życia i w teraźniejszym stanie nędzy, czyn ten wynagrodzić mi zechce.« Zeznanie to policyją natychmiast doniosła papieżowi, który, że mu przypadek ten z jego lat młodzieńczych jeszcze dobrze tkwił w pamięci; starca do siebie przywieść rozkazał i sowicie go obdarował. Poczém wysłał go z własnoręczném pismem do Sinigaglii do krewnych swoich, i wyznaczył fundusz do pielęgnowania starca i córki jego aż do śmierci.

Zkąd pochodzi nazwa proletariuszów. Ponieważ wyraz ten »proletariusze« w pismach publicznych obecnie tak często się pojawia, niebyłoby może od rzeczy zapoznać niektórych czytelników naszych bliżej z pochodzeniem i znaczeniem tego łacińskiego słowa. Objaśnienie w tym względzie znajduje się w dziele Aula Gelinsa, rzymskiego klasyka z drugiego stulecia. »Proletariuszami« pisze tenże, zwano tych Rzymianów ze stanu miejskiego, którzy bardzo szczupłe dochody mieli, i których majątek nieprzewyższał sumy 1500 asów (około 65—70 reń. naszéj monety). Ale ponieważ u Rzymian posiadłość pieniężna i majątek były rodzajem rękojmi dla kraju i zakładem przywiązania do ojczyzny, przeto niewolno było ani proletariuszów, ani tak zwanych: »*Capite censi*« (którzy wcale nic nieposiadali, albo nadzwyczajnie mało) używać do służby wojennéj, wyjąwszy w ostatniéj potrzebie kraju. Jednakże stan proletariuszów, tak co do istoty, jak i nazwy swojéj, większe miał znaczenie, niżli stan tak zwanych »*Capite censi*«. Gdy bowiem kraj był w niebezpieczeństwie, a brak się okazał na ludności obowiązanej do służby wojskowéj; używano przynajmniéj proletariuszów, nigdy zaś tak zwanych: (*Capite censi*) do pospolitego ruszenia, i kosztem kraju broń im rozdawano. Ponieważ tedy ci ludzie dla braku majątku, krajowi służyć nie mogli, jednakże wychowywaniem dzieci (*proles*) do pomnażania ludności się przyczyniali; przeto od słowa (proles) nazwano ich proletariuszami.

Ojciec kóz. Pewna podżyła wdowa w Algierze wzięła do siebie na wychowanie młodego Derwisza, w nadziei, że pielęgnując młodego świętego, wyjedna sobie wstęp do nieba. Młodzieniec ten, żyjąc ciągle samotnie, wychował sobie kozę i wyuczył ją różnych sztuczek, które w oczach zabobonnych Kabylów za cuda uchodziły. Nazwano przeto Derwisza: Bu-Maza, ojcem kóz. Po niejakim czasie ten Derwisz młody, mieniąc się przed wdową posłańcem bożym i aniołem zatracicielem niewiernych, podczas burzliwéj nocy, opuścił jéj mieszkanie. Nazajutrz w czasie uroczystego zgromadzenia przedstawił się kilku starszym Kabylom jako nowy sułtan wybrany od Boga do wypędzenia chrześcijan z kraju. Jak zwykle obiecywał poległym najwyższe rozkosze w niebie, — zwycięzcom sławę i majątek. Przytém zapewniał ich, że ani piorun ani kula szkodzić mu nie może, bo go Bóg okrył niewidomym pancerzem. Wieść o nowym po-

słańcu bożym, jak błyskawica przeleciała po kraju, i od dnia do dnia powiększała się liczba stronników awanturnika. Tym sposobem Bu-Maza pozyskał między Kabylami cześć zabobonną, którą zdarzenie następne (zapewnie poprzednio ukartowane) do najwyższego podniosło stopnia. Dnia jednego, gdy nowy sułtan otoczony dygnitarzami, siedział w swoim namiocie, przypadł ku niemu Kabyl z iskrzącym wzrokiem, przytknął mu pistolet do piersi i rzekł: »Przekonam się natychmiast, czyliś zaprawdę posłańcem Boga!« Nieulękniony tą groźbą Bu-Maza pozostał spokojnie na miejscu; — Kabyl pociągnął — ale broń zawiodła. Trzykroć naciągał kurek, a zawsze daremnie — pistolet niewystrzelił. Wtedyto Kabyl padł przed Bu-Mazą na kolana, a wspaniałomyślny posłaniec boży, darował mu życie. Tak tedy, koza, ustaliła sławę najstraszniejszego nieprzyjaciela Francuzów!

Osobliwości w brzuchu ryby. Podług »Edinburgh-Courant« ułowiono niedawno koło wyspy *Maj*, rybę drapieżną, rodzaju ludojada, mającą pięć stóp długości, a której szczęki nasrożone były sześćma rzędami zębów. We wnętrznościach téj ryby znaleziono puszkę cynową, która oczywiście pochodziła z okrętu rozbitego już dosyć dawno gdzieś na morzu Atlantyckiem, i mieściła w sobie osobliwości następujące: 34 monet różnych krajów i czasów, pomiędzy témi brazylskie, wschodnio-indyjskie, chińskie, po największéj części dosyć zużyte; mały, angielski dalowid, brzytwę, starożytną mapę Jeffenysa, kawałek edymburskiego »Everin-Conrant« z dnia 9go września 1811, w którym zawinięte były dwie z monet śrebrnych; także kawałek londyńskiego »Courier« z dnia 10go maja 1811, którym owinięta była pieczątka i sygnet staroświecki. Rzecz jasna, że ryba ta nosiła w sobie wyżéj wspomnioną puszkę przez czas dosyć długi, byłoby więc dla fizyologów nie małém zadaniem, jakim sposobem mogła ona żyć z tym tak ciężkim a niestrawnym ciężarem, albo czy niecierpiała przynajmniej jakich dolegliwości?

Moda paciorków bursztynowych, które są daleko trwalsze niż wszelkie inne, i stoją teraz na równi z modą zwyczajnych koralików. Najpiękniejsze paciorki z bursztynu zwyczajnego, pochodzą z Gdańska, a z bursztynu czarnego z Georgii. Już w wieku 16tym wyrabiano w Gdańsku rozmaite przedmioty z bursztynu żółtego i białego, które były bardzo drogie. Zygmunt III, król Polski, nabywał takowe i czynił z nich dary tak dla dworów zagranicznych, jako też i ich posłom. Kardynał Caetani legat papiezki w Polsce za czasów powyższego króla, otrzymał od Zygmunta III w darze krucyfiks, tackę do ampułek, i inne sprzęty do ołtarza z bursztynu. Książę Zbarazki podarował sułtanowi i wielkiemu wezyrowi źwierciadło w ramach bursztynowych, szachy, miednicę, i nalewkę z białego bursztynu.

Do historyi pary. »Ceska Wcela« opowiada: »Z rozmów pewnego starca dowiedzieliśmy się wypadku dosyć ciekawego. W przeszłém jeszcze stóleciu, od niepamiętnych czasów miała być już znaną chłopcom w Czechach cudotworcza siła pary. Nalawszy bowiem wody w klucz wydrążony i zatkawszy mocno ten klucz tym sposobem nabity, trzymano go nad ogniem. Para, powstająca z rozgrzanej wody, wypychała zatyczkę z wielkim łoskotem.« Więc parę wynaleźli Czesi?!

Wiek błogosławiony. W mieście Budzie żyje kobiéta, która pomimo 108 roku życia, jeszcze całkiem rzeźwo wygląda. Gdy ją pytano, jakim sposobem doszła do tak długiego wieku? — »Nie piłam nigdy kawy, odrzekła, nie tańczyłam nigdy, i przez całe życie bardzo mało mówiłam.« Nic dziwnego zatém, że dziś kobiety żyją tak krótko! Zresztą żeński ten Methuzalem pewnie nigdy niebył na żadnym koncercie.

Nowe użycie elektryki. Akademii francuzkiéj przedłożono nowe odkrycie, które dla świata medycznego niezmiernie ważném się stanie; — jestto sposób kruszenia kamienia pęchérzowego za pomocą elektryki w przeciągu najwięcéj pół minuty i bez najmniejszego bolu ze strony cierpiącego. Rok teraźniejszy jest dla chirurgii błogosławionym rokiem!.....

Niezbędna potrzeba zakładania trupiarni. W Langenthal umarł przed niedawnym czasem młody mieszczanin z Aargan; wyniesiono go do trupiarni i przeciw zwyczajowi zabito zaraz trumnę. Przechodzący usłyszeli jęk przeraźliwy: — otworzono trumnę, ale już było za późno. Rozbudzone na chwilę życie, usnęło na zawsze. Umarły szamocząc się wyparł nieco wieko od trumny; palce jego były skąsane i podrapane, a twarz i włosy w najokropniejszym stanie. Niech to posłuży za przestrogę!...

Zaszczytna znajomość. Dwóch zégarmistrzów sprzeczało się o to, który z obu ma zaszczytniejsze i rozleglejsze znajomości. »Ja! rzekł jeden, bo zeszłego roku, złoty zégarek naprawiałem cesarzowi chińskiemu« — »E! — cotam cesarz chiński, odrzekł drugi; u mnie był gość niedawno, przed którym nawet cesarz uginać się musi.« — »Któż był tym gościem?« — »Śmierć.« — »Czegoż chciała?« — »Prosiła mię o naprawienie swojej klepsydry.«

Całe kapitały z dymem! Pewien francuzki dziennik oblicza, iż każdy prawdziwy Dandy przynajmniéj 50 franków co miesiąc na sygara wydać musi W ciągu jednego roku czyni to 600 franków, a w przeciągu 10 lat 6000 franków. Gdyby się więc taki panicz kosztownego palenia sygarów wcale oduczył, a wydawane niegdyś na to pieniądze składał, tedy powstałby ztąd po dziesięciu latach, wraz z procentami, kapitalik blizko 8000 fr., któryby się przydał na łaskawy chléb dla jakiego starego sługi, lub jakikolwiek inny dobroczynny fundusz. Takieto więc sumy ulatują z dymem, takiémito sumami opłaca się przyjemność, która według świadectwa najznakomitszych lekarzy naszego czasu, jest najzgubniejszą trucizną dla zdrowia.

Czy to flegmatyczność czy podłość? Żona pewnego sławnego profesora, od niejakiego czasu leżała śmiertelnie chora, ale kochany małżonek nieopuszczał przeto ani na chwilkę swojéj izdebki naukowéj, i niebardzo to sobie brał do serca. Jednego ranku nakoniec, wbiega spiesznie do jego pokoju kobiéta, która strzegła słabéj żony, z płaczem i krzykiem: Ach! panie profesorze, żona pańska właśnie teraz umarła!« Na tę wiadomość powstał profesor spokojnie i zawołał na służącę będącą w kuchni: »Marysiu! dziś zgotuj kawę tylko na jednę osobę, bo moja żona umarła.« — Poczém zabrał się znowu do książek.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.